

Relacja przeprowadzona z P. Marianem Maikiem w Lublinie w dniu 17 listopada 1990 roku przez Dariusza Marciniaka.



Nazywam się Maik Marian. Urodziłem się w 1925 roku w Stawach powiat Brześć powiat Połczyn. Jestem synem osadnika wojskowego. Nasza rodzina składała się z rodziców i piątki rodzeństwa: ja brat Stanisław, Czesław, Jan i siostry Pauliny. Ojciec Franciszek ur. 1897 w Kaliszu. Matka pochodziła z województwa białostockiego z Siemiatycz. Przeżyła 87 lat umarła w bieżącym roku.

W czasie wybuchu wojny w 1939 roku akurat ukończyłem ~~skoro~~ szkołę podstawową w Stawach. Jako osadnicy mieszkaliśmy na koloni Stawy w odległości ok. 3 km od wsi. W 1939 roku starałem się dostać do szkoły zawodowej. Znalazłem się w Brześciu w Państwowym Gimnazjum Mechaniczno-Stolarskim. Przy końcu października /po wkroczeniu wojsk radzieckich/ gimnazjum zostało uruchomione i zaczęłam uczęszczać na zajęcia. W 1940 roku w lutym przebywałem w Brześciu w szkole. W pierwszej połowie lutego miałem zamiar pojechać do domu, aby ~~zabrać~~ odwiedzić rodziców, zabrać pieniądze na żywność i na stację. Do szkoły chodziłem wraz kolegą. Kiedy on poszedł po bilety dowiedział się, że całą miejscowość, całą kolonię Stawy wywieziono. Wszystkie rodziny, a było ich ok. 40. w jednym czasie, w nocy zostały aresztowane i wywiezione. Nie wiedziałem wtedy gdzie. Wróciłem na stację. Ciotka u której mieszkaliśmy, dowiedziała się, że na Brześciu, Brześć Towarowy, stoją transporty Polaków załadowanych w towarowe wagony. Powiedziała do mnie "chodź dziecko to może znajdziemy twoich rodziców". W ten sposób poszedłem z nią. Ten kolega Józek Chlewiński po rozliczeniu się ze szkołą poszedł w swoje strony, przeżył całą okupację.

Ja z ciotką szukaliśmy znajomych wśród wyglądających przez zakratowane okienka Polaków. W ten sposób udało mi się rozpoznać znajomych z naszej miejscowości i odnalazłem rodziców. Zobaczyłem matkę. Powiedziała mi "dziecko dobrze, że tutaj jesteś, że nas znalazłeś, załatwiał przydział do nas. Ojciec mi to odradzał, chciał aby ciotka zabrała mnie ze sobą do rodziny do znajomych. Podjąłem jednak decyzję, aby dołączyć do rodziny. Poszedłem załatwić przydział. Po drodze widziałem takich dużych placach ogrodzonych dużymi słupami i drutem kolczastym pełno naszych żołnierzy z 1939 roku. Mroz był wtedy okropnie duży ponad 30 stopni. Oni w tych polowych mundurach z podniesionymi kołnierzami, wczapkach, stłoczeni. Rodziny polskie w Brześciu podchodziły do ogrodzenia i rzucały im chleb i jakieś pakunki. Widać było, że ci żołnierze długo nie jedli i taki chleb taka pomoc była dla nich bardzo pomocna.

Starszy oficer, który miał listę wszystkich aresztowanych, odszukał na spisie moją rodzinę, mnie nie na nim nie było. Na moją prośbę dopisał mnie.

Podjąłem decyzję o drodze na Sybir, nikt wtedy nie wiedział gdzie nas zawieza, czy to będzie Sybir czy inne miejsce. Otworzono mi wagon. Posłali ze mną żołnierza, aby odkręcił drut i otworzył drzwi. Na drzwiach wagonu zauważyłem liczbę 21. Transport był długi, mam wrażenie, że nasza rodzina znajdowała się w połowie składu. Z Brześcia udaliśmy się w kierunku Moskwy, a potem Archangielska. Podróż trwała bardzo długo, nie pamiętam dokładnie ile, ale przypuszczam, że trwała ok 1.5 miesiąca. Droga była okropna, warunki prymitywne, nieludzko stłoczeni, zimno panujące w wagonie. Był wprawdzie piecyk taka koza osłonięta kocami. Napiliśmy skromny posiłek dla całego wagonu, dzieląc się ciepłym napojem, ugotowaną przez nasze mamy ciepłą zupą. W czasie podróży, żadnej pomocy nie otrzymaliśmy. Wcześniej powiedzieli nam, że mamy zabrać ze sobą żywność na dwa miesiące, taką ilość aby nam starczyło. Nic nam nie dali. Przy dłuższych postojach można było przynieść wody. Dla załatwiania potrzeb fizjologicznych w wagonie zrobiona była dziura.

W drodze kilka razy nielegalnie wychodziłem ~~wielokrotnie~~ przez okienko, żeby przynieść trochę chleba, mleka. Szczególnie chodziło mi o mleko, bo najmłodsza siostra miała dwa lata. Transport zakończył się w Archangielsku. Wszyscy całym wagonem przyjechaliśmy na miejsce. Wyładowano nas w mroźną, głęboką noc bez księżycową noc. widziałem biel tego śniegu. Do wagonów podjeżdżały samochody, rodziny kolejno ładowały się na nie. Część Polaków do obozów było dowożonych podwodami, saniami zaprzęgniętymi w renifery kierowane przez eskimosów.

Z Archangielska zwieźli nas do obozu Warda. Tam wg. planu ustalonego przez władze trafiła do baraku nr. 9. Ja zaś z częścią rzeczy trafiłem do obozu Rożowo. Tam spodziewałem się zastać swoich rodziców. Nie doczekałem się, zrobiłem alarm. Tam dali mi pierwszy posiłek. Składał się on z wrzątku tzw. kipiątek z niego można było sobie przyrządzić coś do picia. Do tego dali mi jakieś suchary. Po mojej interwencji i odszukaniu ~~rodziców~~ rodziców, na drugi dzień zabrano mnie i moje rzeczy, inne rodziny i pojechaliśmy do Uspingi. Z tamąd już prosto do obozu, gdzie przebywała moja rodzina. Nazywał się Warda.

Zagoniono nas do pracy. Pamiętam sowieci robili jakieś spisy, w ten sposób chcąc nas zmobilizować do jak najefektywniejszej pracy. Część z nas poszła do wycinania lasu, część ~~do~~ do cięcia drzewa na opał. Jeszcze inni wykonywali czynności przygotowujące ścięte i przetransportowane drzewo do przyszłego spławu.

Polegało to na tym, że wozilo się z lasu drzewo, zimną na saniach, układano się je na brzegu wg norm tj. długości i grubości. Wszelka praca była nadzorowana i ciągle rozliczana.

Pracowaliśmy na akord, każdego dnia sprawdzano ile nacieliśmy drewna. Ja z moim bratem ~~xxxxxx~~ i innymi, cieliśmy i układaliśmy drzewo w metry. Potrzebne było do opalania w piekarniach, dla potrzeb obozu i przede wszystkim jako paliwo do parostatków. Pamiętam, że brat próbował kombinować. Próbowaliśmy tak układać pocięte drzewo, aby wyglądało, że więcej zrobiliśmy. Na nic to się zdało. Przyszedł kontrolujący, p ruszał kłódami i tak trzeba było dokładać. Trzeba przyznać, że każdy starał się kombinować, aby przeżyć. Niektórzy po pewnym okresie byli już obojętni na urządzone współzawodnictwo.

Z względu na mróz, ciężką pracę w lesie, częściowo w wodzie, w śniegu ubranie szybko się niszczyło. Co jakiś czas, przeważnie raz na rok można było sobie za zarobione pieniądze kupić ~~nie~~ mundurowe sorty do pracy. Były to: watowane spodnie i kurtka, czapka z nausznikami i walonki. Latem dostawaliśmy jeszcze taki czarny kapelusz z siatką. Miała ona nas ochraniać przed wściekła atakującymi komarami. Były one plagą wprost nie do wytrzymania.

Drugą naszą zgorą była penująca w barakach ciasnota. W małym pokoiku coś ok 6x4 m zakwaterowano po 5-6 rodzin. Zgrupowane one były na przygotowanych wcześniej marach. Nie było żadnych warunków do gotowania posiłków, czy wykonania prania. ~~xxxxxx~~

Co jakiś czas na wyznaczono dziedzi na barak, kiedy rodzina po rodzinie udawała się do bani i tam się kąpała. Na codzień można było się umyć w pracy.

~~xxxxxx~~ W obozie był lekarz, ale uzyskać nawet jakiś podstawowy lek było niemożliwością. Umieralność była bardzo duża. Starsze osoby, starsze i dzieci umierały bardzo często. W tym okresie władze sowieckie były wrogo ustosunkowane do Polaków. Nazywano nas kulakami, помещицкими, Polakami, pa panami i innymi przezwiskami ubliżającymi nam Polakom.

Jeżeli ktoś z rodziny umierał władze nie zezwalały na jakiś większy pogrzeb. Kiedy zmarł mój najmłodszy 7-miesięczny brat, bo akurat matka była w ciąży, musiał ojciec zawieźć go na cmentarz znajdujący się na Pieczkach za Uspingą, była to następna mała wioseczka i tam był taki lasik a w nim cmentarz. Tam byli chowani zmarli Polacy z Wardy i innych okolicznych miejscowości. Pochować musiał go sam ojciec.

Wardą była obozem nadzorowanym przez milicjantów. Stało tam 14-15 baraków i stołówka. Gdy tam przyjechaliśmy był w budowie jeszcze jeden barak, po jego wykończeniu został zasiedlony przez Polaków. Na środku obozu znajdował się barak nr. 3. Pewnego dnia usunięto z niego mieszkających tam Polaków. Zakwaterowano ich do i tak ściśniętych rodzin. Ten barak został przygotowany na przyjęcie Estończyków. Przeprowadzono ich w grupie 60 osób. Byli to ludzie młodzi, mężczyźni w wieku 18-30 lat. ~~ni~~ Byli pod ścisłym nadzorem milicyjnym. Milicjanci prowadzili ich do pracy i eskortowali aż do obozu po jej zakończeniu. Estończycy chodzili po naszych barakach i prosili o chleb i coś do jedzenia.

Wiedzieli, że my też jesteśmy zasłańcami, ale widocznie cierpieli większy niż my głód i niedostatek. Nie dostawali też sortów do pracy i musieli pracować w tym co mieli na sobie. Wległo to szybkiemu zniszczeniu. Nie spodziewanie po jakiś dwóch-trzech miesiącach zostali zabrani z naszego obozu. Nie wiem co się z nimi stało.

Ze zarobione pieniądze nie można było kupić. Można jedynie opłacić wyżywienie w stołówce, swoje należności w sklepie i za przyznane mi sorty do pracy.

Poza tym obozu nie można było opuszczać i za zarobione pieniądze w innym miejscu czy od Rosjan coś kupić. Jeśli był przydział na jakiś materiał dobry na koszule, czy kałesony to się zapisywało na specjalną listę i długo czekało. Za pieniądze nie można było kupić dodatkowego przydziału chleba czy mąki.

Różniej gdy były przydziały amerykańskiej odzieży i można było opuszczać obóz wymieniało się ją za żywność. Dostawialiśmy zezwolenie od władz i chodziliśmy od domu do domu oferując te i jakieś lepsze rzeczy za chleb, ziemniaki, mąkę, mleko. Pamiętam, wymieniłem kiedyś dwie używane sukienki na 3-4 kg chleba litr mleka i 1 kg mąki.

Przed wybuchem wojny jednak taka sytuacja była nie do pomyślenia. Żywność była na listy i to tylko dla tych co pracowali. Kupione rzecz jak np. walonki trzeba było szanować, niestety chodziło się w nich na okrągło. W stołówce otrzymywaliśmy 700gr. chleba, osoby niepracujące i dzieci po 300gr. Do tego 2x razy dziennie kąpiatok dla niepracujących. Pracujący otrzymywali talony na całodzienną wyżywienie. Talony wydawano w pracy oddzielnie na każdy posiłek wg listy za pokwitowaniem. Pracowaliśmy na dzienne i nocne zmiany. W zależności od tego otrzymywaliśmy odpowiednie talony. Stołówka pracowała przez całą dobę.

Innego sposobu odżywiania nie było. Głodowe racje nie wystarczały. Mięsa tam nie widziakem, częściej ryby. Ci co zostawali w domu to w okresie letnim chodzili do lasu zbierać grzyby i jagody. Z tego można było na ognisku przed barakiem coś upitrasić. Ja po pracy łapałem ryby w winie, rzecze czystej i rybnej. Nikt nam tego nie zabraniał. Jedynie sprzęt na ryby trzeba było zrobić we własnym zakresie, nie do tego nie było można było kupić.

W obozie w Wardzie nie było szkoła dla dzieci.

W latach 1940-41 do czasu wybuchu wojny śladko, ale docierały do nas paczki. Myśmy też otrzymali taką paczkę z Siemiatycz od babci. Ważyła 10 kg i była to sama słonina. Przez jakiś pewien czas było na czym smażyć. W obozie było nas ze 300, bardzo dużo umarło, trudno powiedzieć ile, ale każda rodzina utraciło po 1-3 osoby. Myśmy utracili brata, jest pochowany na Pieczkach.

Był z nami taki P. Swicki - samotny, bardzo wykształcony, znał 6 czy 7 języków. Był nieprzystosowany do życia w takich warunkach, ale ubrany, bez własnego bagażu, bardzo szybko zmarł. Był niedopatrzony, insekty po nim chodziły, w obozie pracował - ciął gwoździe z drutu. Ludzie pomagali mu jak mogli, niestety zmarł. Życie w baraku było okropne, dwadzieścia parę osób na narach, niedostatek żywności, swobód. Powodowało to powstawanie różnych kłótni i nieporozumień. Z drugiej strony, ciężkie warunki życia powodowały konsolidację zesłańców i wzajemną pomoc. Informowano się gdzie można było kupić dodatkową żywność, gdzie zrobić. Ta informacja była ważna i do wszystkich docierała. Robiliśmy wspólne zakupy i wypadki. Chodziliśmy wspólnie pracować do kółchozu np. zbierać ziemniaki. Dostawało się za to koszyk do domu. To robiło się oczywiście po wykonaniu swojej pracy.

W baraku była z nami rodzina Terleckich - Ukraińców wywiezionych gdzieś z Ukrainy. Rodziny ta między sobą mówiła po ukraińsku, była silnie związana z polskością. Była rodzina Klepalskich i Maików tego ojca brat.

Zabraniano nam obchodzenia jakiegokolwiek świąt, zbiorowych imprez, nawet pogrzebów. Świąta organizowaliśmy wspólnie w pomieszczeniu, raczej były to jakieś symbole świąt, śpiewanie kolęd. Robiliśmy to po cichu, skrycie, indywidualnie dla każdego baraku. Jeżeli rozmawialiśmy w baraku to poruszaliśmy różne problemy wspominaliśmy dawne czasy, umawialiśmy naszą sytuację, snuliśmy marzenia powrotu do Polski. Krótco przed wybuchem wojny dostałem list od znajomych z Niemirowa. Z jego treści wywnioskowałem, że na coś się zanosi, pisano, że wkrótce nas wywołają, chyba Niemcy. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej zauważyliśmy, że pewne sprawy związane z naszym bytem na zesłaniu systematycznie pogarszały się. Szczególnie jeśli chodzi o sprawy życiowe, bytowe. Władze tłumaczyły nam, że teraz jest wojna i najważniejsza jest obrona ojczyzny, a sprawy ludzi tym bardziej tych zesłanych odchodziły na dalszy plan. Odczuwaliśmy, że Rosjan ubywa - powoływano ich do wojska. Coraz więcej pracowało kobiet, wykonywały typowo męskie prace. Nas jako zesłanych, element politycznie niepewny do wojska nie brali, lecz dawali nam coraz więcej ciężkich prac związanych z wyrębem i spławem drzewa. Wydawali nam sprzęt: piły, siekiery. Musieliśmy dochodzić do miejsc wycinki po 2-3 km od obozu, zimą musieliśmy odgarnąć specjalną kopatą śnieg. Tworzyliśmy brygady 2-4 osobowe. Całe dnie wycinaliśmy drzewa, wieczorem po dniu pracy przychodził do nas "dziesiętnik" tj. człowiek, który przyjmował od nas robotę, odmierzał i zaliczał nam wykonaną normę, od niej zależała nasza wypłata - pieniądze za które i tak nic nie można było kupić. ~~W~~ Zimą były kłopoty z dojściem na zrab. Latem drzewo odpowiednio sortowane, konie wywoziły na brzek, w celu spławu. Latem głównie zajmowaliśmy się spławem,

Przy brzegu stały zakotwiczone tratwy z ustawionymi na nich maszynami, posiadające o uszczajające się zęby i korytarze, które sortowały drewno. ^{drzew} Łańcuch był wiazana drutem w pęczki, układano w buksiny-tratwy. Były one zholowane przez 2-3 holowniki. Praca przy tym była niebezpieczna, trwała na okrągło przez całą dobę - na trzy zmiany. Zdarzały się wypadki, do tego komary utrudniały pracę. Zdarzyło się, kiedy będąc bardzo zmęczony, niedożywieniem i pracą w nocy, upadłem, mogłem się dostać w zęby maszyny, która ścisnęła wiązki drewna. Byliśmy nadzorowani przez władze sowieckie. Wiedzieliśmy, że w Anglii jest Rząd Emigracyjny, że prowadzi jakieś pertraktacje ze Stalinem. Wszelkie o tym wiadomości pilnie wyczytywaliśmy z prasy sowieckiej. Słyszeliśmy, że w 1942 (1) D.N. Były prowadzone rozmowy na linii Sikorski-Stalin. Po zawarciu tego porozumienia odczuliśmy pewną ulgę. Nie trzeba było prosić władz o pozwolenie wyjazdu do kolchozu, można było wyjechać z obozu tłumacząc to chęcią udania się do polskiej armii. Nie wolno było tylko nie pracować. Szeregi osób poszło (z naszego obozu) do wojska Andersa m.in. poszedł syn z rodziny Werleckich, byli tym faktem zaszczytzeni. (z tej rodziny pamiętam Olgę i Wasylę) Ja także starałem się dostać do wojska, ale powiedziano mi, że w pierwszej kolejności przyjmowani są ci, którzy w 1939 w wojsku służyli i mają ukończone 21 lat, nie miałem osiągniętego wieku poborowego. Pomoc delegatury była już wtedy widoczna. Rodziny w zależności od sytuacji materialnej i zdrowotnej były wspomagane ^{gł} w postaci odzieży amerykańskiej, żywności (sucharów i konserw). Nasza rodzina i te w których więcej osób pracowało, będące trochę w lepszej sytuacji otrzymywały tej pomocy mniej. Podzieliu otrzymanych darów dokonowały powołane w tym celu komitety, składające się z ludzi żyjących w obozie. Każda rodzina była zakwalifikowana przez zarząd w obozie, ^{jak} jej potrzeby rozpatrywane. Mój barak opiekował się taki starszy pan, który m.in. rozliczał się przed władzami sowieckimi. Polacy pracowali również w Uspindze, ale tam nie było obozu, raczej to było ich miejsce pracy. Tam odbywały się przygotowania do wywiezienia drewna w dwa kierunkach do Kotłas i Archangielska. W Uspindze mieszkali tylko Rosjanie. Innym obozu znajdującym się поблизу o tej samej specyfice jak nasz było Rożowo - tam mnie kiedyś przez przypadek zawiązano. Nie wiem co tam się działo, ponieważ nie pozwalano nam się kontaktować. Wiem natomiast, że przebywało tam szereg polskich rodzin, wykonywali podobne prace. Innym obozem, który pamiętam była Zaria, położony w górze rzeki Dwiny w odległości 7 km. Były też obozy w kierunku Kotłas, ale były to obozy o obostrzonym rygorze. Przebywały tam liczne nacje: finowie estończycy, było tam też wielu Rosjan. Szereg obozów było też na kierunku Pienigi. Tam też był duży obóz dla Polaków. Przebywało tam dużo moich znajomych ze Stawów m.in. rodziny Kielochów, Krzemieńskich, Wachowiaków, Chlewińskich.

Pamiętam pewną scenę przypominaną mi po latach przez moją koleżkę ze szkoły Romana Górka (obecnie mieszka w Ostrowiu Wielkopolskim). Pracowaliśmy w różnych brygadach. Kiedyś wracając z pracy, Warde była oddalona od Uspingii ok. 3km, spotkaliśmy Romana. Powiedział do mnie, że ślepie i nie widzi, że nie dojdzie samodzielnie do ~~domu~~^{dozoru}, gdyż zbliżała się szarówka. Musiałem trzymając go za rękę doprowadzić do domu. Cierpiał na kurzę ślepoty. Wszystkim nam brakowało witamin potrzebnych dla ciężko pracującego organizmu. Szerzył się szkorbut, a na niego nie było lekarstwa. Jedynym ratunkiem były złowione ryby i jagody. Jakoś to ustało, ale ślady pozostały do dziś.

W 1942 roku naszą rodzinę została podzielona. Musiałem opuścić obóz. Pracować mieliśmy obowiązek, do tego nas zmuszano. Za niestawienie się do pracy groziła kara, byłem zagrożony, bo miałem już dwie nieobecności. Na opuszczenie obozu zdecydowałem się wraz z kolegą Henrykiem Klepalskim. Podrobiliśmy potrzebne dokumenty, by można było się swobodnie poruszać. Uciekliśmy też by nie cierpieć panującego w obozie głodu. Naszym marzeniem było dostać się do kołchozu, gdzie była żywność. Razem dostaliśmy się do Pienigi (w górę rzeki) tam w okolicy znaleźliśmy kołchoz, który był dość duży, a brak było w nim mężczyz do pracy. Przewodniczącym kołchozu była młoda kobieta. Sama nas zarejestrowała i dała nam pracę. Pracowaliśmy tam 2-3 miesiące. Miałem wtedy 16-17 lat, a mój kolega 20. Zatrudniono nas do wszelkich napraw, poczynając od ostrzenia noży po naprawę wszelkich urządzeń. Kobiety tam przynosiły nam ~~nie~~ posiłki, jakąś zupełnie wymyślną, ale tu wszystkiego było pod dostatkiem, przynajmniej jeżeli chodzi o porównanie z obozem. Odczuwaliśmy skargę tych ludzi na władze sowieckie że cierpią w tym biedę, że zabrano wszystkich mężczyzn do wojska, że wracali kalecy. Stosunek kołchoźników był do nas dwuznaczny, wiedzieli, że Polska też była napadnięta przez Niemców, ale pamiętali, że był to kraj "panów i burżujów". Marsz Pienigi do kołchozu był bardzo trudny, zresztą w takim terenie bez dróg, zimą w śniegu nie należało do najłatwiejszych. Dziennie nie robiono się więcej niż 18 km, odległości między wioskami wynosiły ok 20 km. Pamiętam zamukaliśmy do domu w wiosce, otworzyła nam jakaś kobieta otulona od zimy. Prosimy o pomoc-żywność i nocleg. Dala nam chleba, ale nie była pewna czy będziemy chcieli go jeść. Był cały czarny, okazało się, że brakło im przedziakowego owsa i do maki dodawali suszoną i zmieloną korę młodych soson. Cała jej rodzina leżała na piecu. Donostwo przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Widać było panujący głód i brak jakiegokolwiek nadziei na poprawę. Okazało się, że oni też byli zesłani tyle, że dużo wcześniej. Obraz tej biedy głęboko mi utkwił w pamięci.

Przewodnicząca kołchozu po upływie trzech miesięcy zapisała nas do rosyjskiego wojska. Bardzo nas za to przepraszała, ale musiała wypełnić narzuconą jej normę rekruta

Wiedziała, że nas nie skierują na front. Pozhywała się nas z żalem. Razem z nami poszło 5 lub 6 ludzi z kołchozu. Nie było dla nas żadnego transportu, więc musieliśmy pieszo iść do Archangielska, gdzie była komisja poborowa. Po drodze nielegalnie odłączyłem się od grupy i odwiedziłem rodzinę pozostającą w Warędzie. Porozmawiałem tylko z mamą, ponieważ ojciec akurat pracował na nocnej zmianie. Po drodze zatrzymywaliśmy się jedynie na krótkie postoje, gdzie czekała na nas gotowana woda. Posilaliśmy się suchym prowiantem wydany nam przed podróżą (suchary), gdzie po drodze nie nocowaliśmy. Szliśmy tak bez przerwy 1,5 dnia. Wreszcie po tym wyczerującym marazju dotarliśmy do Archangielska. Stawiliśmy się na komisję, jako Polaków nie wcielono nas do jednostek bojowych lecz skierowano zmilitaryzowanego oddziału roboczego (strajbatalion- D.M.) i skierowano do pracy w okolicy Murmańska, konkretnie do Kiem. Tam pracowaliśmy w pierwszej fazie nad przygotowaniem obozu dla więźniów. Obóz ten został wcześniej zlikwidowany przez władze, które teraz widocznie spodziewały się nowego napływu więźniów. Po pozostałościach zorientowaliśmy się szybko, że przebywały tu różne nacje, pewnie Finowie, Estończycy i Łotysze. Po wywnioskach ~~na~~ więźniach pozostało sporo postrzępionych gazet, listów, książek i różnego sprzętu jak np. walizki lepszego gatunku niż rosyjskie. Obozy te były umieszczone w głębi tajgi i składały się przeważnie z 5-6 baraków. Nasza praca polegała na ich reperacji, przygotowywaliśmy piece, sprawdzaliśmy kominy, drzwi, okna i ~~piasek~~ podłogi, oczyszczaliśmy ^{to} z panującego brudu. Wcielono nas do mieszanej brygady, gdzie byli Rosjanie. Chodziliśmy tak od obozu do obozu ze swoim prowiantem przeznaczonym na dwa tygodnie, po upływie tego czasu mieliśmy obowiązek zgłosić się do Kiem. Potem znów przez bagna szliśmy do obozów znajdujących się przeważnie w odległości jakiejś 7km od Bazy w Kiemach. Pamiętam w czasie pracy zmarł jeden z pracujących z nami Rosjan. Musieliśmy zawrócić i jego zanieść do bazy. Szło nam to bardzo trudno, na szczęście jeden ze znajomych lepiej teren Rosjan znalazł kórkę. ~~XXXXXX~~ Z jej pomocą udało nam się dotrzeć ze zwłokami do Kiem. Nasza brygada przygotowała dwa obozy. Po skończeniu prac związanych z przygotowaniem obozów przeniesiono nas do innej brygady zajmującej się wyłapywaniem uciekającego do morza drewna. Była to najgorsza z wykonywanych przeze mnie prac na zesłaniu. Wyłapywanie tego balansującego, zamrożonego drzewa pohanego kraju nie należało do bezpieczniejszych prac. Lód, kra, zimno, szczególnie siła z jaką płynęło drzewo utrudniało prace, do tego pracowaliśmy w wodzie, a przecież było bardzo zimno. Olbrzymie ilości spływającego drzewa powodowały powstawanie olbrzymich zatorów, często pływających wysp, na których przebywały olbrzymie ilości ptactwa. Widok wprost nie do opisania. Naszym zadaniem było rozbijanie takich pływających wysp. Świdrowaliśmy otwory, przez które zakładaliśmy łańcuchy holowników próbujących te zwalę drzewa rozzerwać. Z tak połączonych łańcuchem pni tworzyły się istne różadce drzewa. Na brzeg wyciągały je specjalne maszyny

tam cięto je na małe kawałki, służące jako paliwa samochodów gazowych. To było jak wspomnieć najgorsze prace, cały czas w wadziw mroźnej wodzie, ze względu na ~~nie~~^{to} otrzymywaliśmy po 200 gr alkohole dziennie. Częściowo zużywaliśmy go do smarowania ~~cał~~ nóg i pleców, resztę wymieniałem z ruskimi żołnierzami na chleb lub konserwy.

Wśród rdzennych mieszkańców istniało ściśle rozdzielony podział pracy. Część koczochów zajmowała się połowem ryb, część polowaniem na zwierzęta. Remiętam rodzinę, która zajmowała się połowem wyłącznie kososia. Mąż i domę należeli do tego samego koczochu i swój połów oddawali do tej samej spółdzielni. Kiedyś zachciało nam się kososia, najpierw poprosiliśmy ich o rybę, ale gdy nam odmówili postanowiliśmy z Henkiem Klepackim sami sobie złowić, a raczej wyciągnąć im z siatek. Udało to nam się. Ale kiedy wracaliśmy wpadliśmy w mgłę tak, że nic nie widzieliśmy, kiedy się podniosła zauważyliśmy ich płynących. Aby nie mieć kłopotów, Heniek tę rybę wypuścił. Podpłynęli do nas nie widzieli już ryby, ale zauważyli pozostałą łuskę. Na drugi dzień przyszli do nas, ostrzegając, że następnym razem zgłoszą całe zajęcie milicji.

Z rodziną utraciłem kontakt, korespondencja była żadka. Mój młodszy brat Stanisław pracował jako palacz na statku rzeczonym. Zdołał przewieźć rodzinę, aż do Krywojaru, gdzie poprzednio były kolonie niemieckie. Pisali, że znacznie im się poprawiło, że tam panował lepszy klimat, mieli więcej żywności bo pracowali w koczochie zajmującym się hodowlą owiec, nawet mieli mięso i mleko. Wiedziałem, że z głodu nie umrą. Ojca wzięli do wojska, trafił do 1 DP.

Ja wielokrotnie starałem się wyrwać z mego Strójbatalionu do Polskiego wojska. W połowie lipca 1943r przyszło do mnie wezwanie, że mam stawić się na komisję wojskową. Nazano mi się rozliczyć z przedsiębiorstwem i Dostałem skierowanie do wojska umożliwiające mi swobodny przejazd. Wtedy straciłem kontakt z Henrykiem Klepackim. Dla nas służba wojskowa była obowiązkiem, ale i sposobem wydostania się z zesłania. Trafiłem do 1 DP 4 pułku zapasowego. Tam spotkałem ojca i jego brata i razem przeszli my przez front.

Dalej omówiony pokrótce szlak bojowy.

Dostałem się do szkoły podoficerskiej, służyłem w 3 DP w 16 pułku.

Szlak prowadził przez Kiewce, Lublin, przyczółek Warecko-Magnuszewski, Dragę i pomoc Warszawie, zdobycie Warszawy, Bydgoszcz, Wał Pomorski, Kołobrzeg, prawą stronę Berlina. Dwa razy kontuzjowany.